



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jan K. Szyszkowski

Sybirskie lata

Urodziłem się 15 maja 1925 roku w Czernelicy, powiat Horodenka, województwo stanisławowskie. Do 1939 roku mieszkaliśmy w Nadwornej przy ulicy Mazepy nr 3. Tam ukończyłem dwie klasy Polskiego Prywatnego Gimnazjum Koedukacyjnego. Mój ojciec służył w Państwowej Policji. Wraz z wojskiem i Komendą Policji przekroczył 20 września 1939 roku granicę polsko-węgierską.

Nas, tj. matkę Jadwigę i czworo dzieci: Marię, Jana, Janinę i Józefa 13 kwietnia 1940 roku deportowano wraz z innymi rodzinami w głąb ZSRR, jako specjalnych przesiedleńców. Dowieziono nas 3 maja 1940 roku do posesji Bannówka, powiat (rejon) Fedorowski, stacja kolejowa Dżarkul, województwo (obwód) Kustanajski w północnej części Kazachstanu. Wszystkie rodziny polskie przydzielono do domów (lepiarek) poszczególnych tamtejszych kolchoźników.

Zatrudniono nas w kolchozie pod nazwą „Sierp i Młot”. Ja pracowałem w polu, wołami i końmi orałem i bronowałem, a nocowałem w barakowozie w 4 brygadzie polowej. Pracę zaczynaliśmy skoro świt, a kończyliśmy już w godzinach nocnych. Przerwy w robotach dyktowała konieczność karmienia bydła pociągowego.

Później zatrudniony byłem przy zbiorce siana, a w czasie żniw na kombajnie. Najcięższa praca była podczas żniw i zwózki zboża do oddalonego o 20-25 kilometrów elewatora. Dźwiganie i ładowanie worków na furmanki poważnie nadwierało mój organizm. Ogólne osłabienie i ból kręgosłupa odczuwałem później przez dłuższy czas. Jesienią w zamkniętych pomieszczeniach zaprawialiśmy zboże przeznaczone na siew. Odbywało się to bez masek, więc pojawiły się poważne komplikacje z oddychaniem. Wychodziliśmy z tych pomieszczeń poważnie zapyleni.

W przerwach robót polowych przygotowywaliśmy opał na zimę. Praca polegała na tym, że boso mieszało się nawóz ze słomą, przy czym często kaleczyło się nogi. Potem tę miazgę krajało się łopatami i suszyło na słońcu, a w końcu układało się w pryzmy.

Po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej w czerwcu 1941 roku zmobilizowanych do armii mężczyzn przy wszelkiego rodzaju robotach zastąpiły kobiety i dzieci.

Po zawarciu układu Sikorski – Majski w lipcu 1941 roku pojawiła się nadzieja, że ojciec – będący wówczas żołnierzem Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich – wyciągnie nas z Sybiru. Jednak pomimo jego usilnych starań nie udało się tego dokonać. Po wielu trudach i zabiegach trafiliśmy natomiast z Bannówki do Fedorówki. Byliśmy więc bliżej stacji kolejowej Dżarkul, z której, jak sądzono, mieli nas zabierać do tworzącego się w ZSRR wojska polskiego. Wkrótce okazało się jednak, że nie będą nas nigdzie ewakuować. Musieliśmy zatem w Fedorówce znaleźć pracę i dach nad głową dla pięcioosobowej rodziny.

Matka znalazła posadę dla siebie i dla nas w zakładzie prasowania siana (Zahot seno). Pracowałem tu przy prasowaniu siana dla kawalerii radzieckiej, a w wydzielone dni ładowałem bele (tiuki) siana na platformy kolejowe. Dźwigałem je po specjalnej drabinie (trapie) na dość wysokie piętra platformy. Ostre bóle kręgosłupa znacznie się nasiliły. Matka, widząc moje cierpienie, zaprowadziła mnie do lekarki, która uznała, iż jest to zespół przeciążenia kręgosłupa i zaleciła zmianę pracy oraz zakazała dźwigania ciężarów. Było to niewykonalne. Na moim ciele pojawiło się sporo ran, powiększyły się pachwinowe węzły chłonne.

Po zawarciu układu Sikorski – Majski zaczęliśmy otrzymywać pomoc charytatywną, ustanowioną przez ambasadę polską w ZSRR. Rozdzielaniem darów zajmowali się mężowie zaufania. Bez tej pomocy wielu z nas by nie przetrwało. Z kolei po wyprowadzeniu wojska polskiego i części osób cywilnych przez gen. W. Andersa do Iranu nasza sytuacja znacznie się skomplikowała. ZSRR rozwiązał instytucję „mężów zaufania” i zlikwidował możliwość udzielania Polakom charytatywnej pomocy przez zachodnie demokracje. Na domiar złego siostrę Marię zabrano do „trudowej armii”, budującej kolejowy szlak Akmolieńsk – Karaganda, a mnie zmobilizowano na Ural, w rejon miasta Karpińsk do budowy odkrywkowej kopalni węgla. Tutaj przeżyłem najtrudniejszy okres mego życia. Zabójczy klimat, ciężka, ponad moje siły norma 4 m³ urobku dziennie, głodowe wyżywienie – zdawały się zapowiadać rychły koniec moich dni. Nie było żadnej ochrony przed komarami i mikroskopijnymi muszkami (meszka), które wdzierały się do każdej nieosłoniętej części ciała. Byłem zakrwawiony na twarzy bijąc komary i te miliony muszek, które wysysały krew. Wśród pracujących tu Polaków (i nie tylko Polaków) panowała kurza ślepotą, powszechny skorbut (cygna). Leczyliśmy to jedynym dostępnym nam w tamtych czasach lekarstwem – przegotowaną wodą z igliwem. Byłem owrzodzony, a katorżnicza praca i panujący głód wyniszczał szybko mój organizm i siły. Chorowałem na biegunkę, która była zjawiskiem nagminnym, przy tym miałem częste na przemian napady zimna i gorączki. Tylko troska starszych kolegów ustrzegła mnie od najgorszego. To oni jakimś cudem zdobywali niektóre lekarstwa no i pożywienie.

Warunki egzystencji i pracy pozostawały nieludzkie. Brakowało wszystkiego. W tych samych łachmanach, w których wyrabialiśmy normę kopiąc uralską ziemię, spaliśmy na pryzkach w zagrzybionych barakach, z wszelkiego rodzaju insektami i gryzoniami. O przestrzeganiu higieny nie było mowy. Myśliśmy się w przepływającej rzece, do dosyć czystej wodzie. Nie było mydła i żadnej dezynfekcji. Również zamieszkiwane przez nas baraki nie podlegały żadnej dezynsekcji i deratyzacji. Byliśmy więc nosicielami wszystkich możliwych insektów i zarazków. Atakowały nas owady i kleszcze z drzew, pod którymi pracowaliśmy, a wbite w nasze ciała kleszcze smarowaliśmy naftą i wydłubywaliśmy je.

Coraz bardziej ogarniała mnie beznadzieja. Nie widziałem żadnego wyjścia z tego uralskiego więzienia bez drutów. Ciężka praca od świtu do nocy, głód, rany i łachmany na moim ciele, naprzężona, burzliwa i męcząca atmosfera między ludźmi skazanymi właściwie na wygnanie, doprowadzały mnie niejednemu raz prawie do obłędu. Znikąd pomocy, z dala od matki i rodzeństwa – też głodującego i chorego. To wszystko wpychało mnie w depresję, z którą coraz trudniej było się uporać. Moja psychika nie wytrzymywała tych codziennych obciążeń, fizycznego i moralnego terroru. Ciągłe obcowanie z umarłymi z wycieńczenia ludźmi, z chorymi i głodnymi, a także ze zwykłymi złoczyńcami, zbrodniarzami i bandytami spotykanymi wśród tak ogromnej liczby ludzi, odbierało resztki nadziei na wydostanie się z tego piekła.

I właśnie będąc w takiej sytuacji usłyszałem od kolegów o komunikacie radiowym, w którym Rząd Radziecki wyrażał zgodę na organizację polskiej Dywizji Kościuszkowskiej. Komunikat ten wszystkich nas wprawił początkowo w osłupienie, a potem w niewysłowioną radość. Oto zaczęła kielkować nadzieja na wyrwanie się z tego człowieczego upodlenia.

Rozpoczęto zatem starania u władz kopalni o zrealizowanie naszych pragnień – ochotniczego wstąpienia do organizującej się dywizji. Początkowo odpowiedź władz trestu „Bogosłowskugestroj” była negatywna. Motywowano ją tym, że w międzyczasie ukończyliśmy kurs pomocników maszynistów parowych koparek (ekskowatorów) i jesteśmy niezbędni w pracy dla frontu na zapleczu. Dopiero po kilku tygodniach starań i prośb (a było to chyba w sierpniu 1943 roku), pozwolono nam na wyjazd do organizującego się Wojska Polskiego. Było to prawdziwe wybawienie dla tych, którzy znajdowali się jeszcze wśród żywych. Wielu jednak pozostało na tej „nieludzkiej ziemi” na wiecznej warcie, między innymi mój kolega Tadeusz Szymański – spuchnięty z głodu przy wyrębie lasu, syn majora WP.

Wojskowe władze radzieckie zorganizowały towarowy transport kolejowy do Swierdłowska, punktu zbiorczego Polaków z różnych stron ZSRR. W tym transporcie zaczęliśmy powracać do względnie normalnego życia, dostaliśmy na drogę suchary, a na niektórych większych stacjach gorący posiłek. Po skompletowaniu podróży wyjechaliśmy do stacji Diwowo, a następnie pieszo doszliśmy do rejonu organizacji oddziałów polskich w Sielcach. Tu zaraz na wstępie zobaczyliśmy hasło: „Witaj żołnierzu – wczorajszy tułacz”. Co działo się wśród nas i w nas, tego nie podejmuję się opisać.

Zaprowadzono nas do punktu sanitarnego. Tam zrzuciliśmy z siebie łachmany. Poddano nas gruntownej i zbawiennej dezynfekcji. Kiedy mnie odczyszczono, wykąpano i wygolono, odrobaczono

i wysmarowano jakąś maścią, ubrano w nowe i czyste ubranie – poczułem się jak w niebie. Regularne (trzy razy dziennie podawane) wyżywienie, opieka medyczna oraz otwierająca się jaśniejsza perspektywa dnia jutrzejszego, z wolna wraz z mijającym czasem przywróciły we mnie równowagę fizyczno-psychiczną,

Z dzisiejszej perspektywy moje przeżycia w sybirsko-uralskich latach pobudzają do głębszej refleksji. Odcisnęły one niezatarte piętno w mej świadomości, a zapewne także w podświadomości, w mym światopoglądzie i światoodczuciu, które nosiłem w sobie przez wszystkie minione dni. Rzutowały one na moje postępowanie i zachowanie, na mój sposób bycia, na moje późniejsze przekonania i oceny zjawisk politycznych i społecznych, ideowych i etycznych. Poza tym nie zagojone rany, urazy i fobie, które z jednej strony rodziły bunt i gniew, z drugiej lęk. Przekonałem się, że nie ma zjawisk, które można by zaszerzegać jedynie w kolorach czarno-białych, tak jak nie ma jednoznacznych ocen ludzi, z którymi przeżyłem epizod sybirsko-uralskich lat.